

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Daniel Mikołaj Chodowiecki (1726 - 1801)

Powszechnie znanym jest fakt, że jedną z głównych cech niemieckiego rasizmu, jest przywłaszczanie na rzecz rasy nordyjskiej i to w sposób beceremonialny wybitniejszych w historii ludzkości jednostek, a zwłaszcza tych, które się odznaczyły w nauce lub sztuce.

Jedną z takich jednostek jest Daniel Mikołaj Chodowiecki, urodzony jako syn emigranta Polaka i matki Francuski w Gdańsku 16 września 1726 r. Początkowo sposobił się młody Chodowiecki do zawodu kupieckiego jako syn kupca, atoli przesiedliwszy się z rodzicami w 16 roku życia do Berlina, poświęcił się z amatorstwa rysownictwu, a poznawszy Basedowa, pod jego kierunkiem w bardzo krótkim czasie wydoskonalili się w rysunku, miniaturze i emalii, w czym nawet doprowadził do artyzmu.

Ideąlem jego do naśladowania są wielkie kompozycje Calo'a o mikroskopijnych prawie figurach.

Nie bez wpływu na jego twórczość jest szkoła francuska, flamandzka i wreszcie niemiecka, atoli pozostaje zawsze sobą, zawsze oryginalnym, prawie samouk, a w każdym razie bez studiów skoordynowanych, systematycznych, wzorując się pod względem smaku artystycznego na artystach tej miary, jak Watteau, Boucher, Leclerc i i.

Obdarzony umysłem pogodnym, zmysłem wysoce artystycznym, mrówczą pilnością, staje się Chodowiecki w krótkim czasie artystą najpłodniejszym, a prace jego zwłaszcza w zakresie miniatury i ilustracji odznaczają się poza kulturą wysoce artystyczną, ściągnięciem benedyktyńską starannością i sięgają najwyższego poziomu tego rodzaju sztuki.

Ale nie tylko w miniaturze i ilustracji odznaczył się nasz artysta. Próbował on także tworzyć pędzlem, ale tu poza obrazem, przedstawiającym scenę wówczas aktualną „Pożegnanie Calasa” niewinnie zasądzono i stracono (którego malowidło zyskało sławę arcydzieła i wywołało w świecie artystycznym wielkie poruszenie tak, że Chodowiecki musiał wykonać je w miedziorycie i pod tą postacią zostało rozpowszechnione w niezliczonej ilości egzemplarzy) — nie miał powodzenia żaden utwór, to też artysta malarstwa farbami wogóle zaniechał.

Wobec tak rozwiniętej twórczości i nadzwyczaj wysokiego poziomu artystycznego licznych utworów, zwłaszcza wykonanych piórkiem i tuszem w miniaturze i ilustracji, nie mógł genialny artysta nasz pozostać długo w ukryciu, to też otrzymuje on od berlińskiej Akademii Nauk zamówienie na wykonanie rycin do wydawanego przez nią kalendarza, co było niejako jego pierwszym oficjalnym wystąpieniem publicznym na arenie sztuki.

Za uznaniem, jakie go tu spotkało poszła i popularność Chodowieckiego jako artysty wysokiej klasy, wnet też zostaje on powołany do berlińskiej Akademii

Sztuk Pięknych, której w roku 1764 zostaje rektorem, zaś w roku 1788 wicedyrektorem, wreszcie w roku 1793 dyrektorem rzeczywistym. Był to najwyższy stopień uznania dla geniuszu artystycznego.

W roku 1773 odwiedził Chodowiecki Polskę jako swą ojczyznę i tu wykonał miniaturę ks. prymasa Podoskiego, a kilka jego utworów miało się znajdować w zbiorach śp. Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce.

Pozostałość artystyczną Chodowieckiego stanowią niezliczone miniatury oraz ilustracje dzieł Woltera, Szekspira, Lawatera, Schillera, Lessinga i w. i., ogółem przeszło 3.000 utworów.

Większa ilość utworów artysty znajduje się w berlińskiej Galerji Królewskiej, wreszcie około 100 sztuk w berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

O swej twórczości pisze Chodowiecki w swych pamiętnikach: „Rysowałem

stojąc, idąc, rysowałem w podróży, a najbardziej lubiłem podpatrywać moje modele nawet przez dziurkę od klucza, w ten sposób bowiem udawało mi się pochwycić przedmiot w pozie naturalnej.

Jak beceremonialnie przywłaszczają sobie Niemcy Chodowieckiego, świadczy fakt, że pozostawił on pamiętnik z r. 1793 cytowany nawet przez niemieckich autorów („Chodowiecki“ zwischen Rokoko und Romantik“ przez prof. Dr. E. W. Bredta — wyd. w Monachium — bez daty) — w którym wyraźnie twierdzi, że po ojcu przynależy do narodowości polskiej, zaś jego babką i matką pochodzili z rodzin francuskich emigrantów.

Wszyscy bez wyjątku Chodowieccy od czasu pozostawania na emigracji, tj. od kilku pokoleń, łączyli się węzłem małżeńskim wyłącznie tylko z osobami narodowości francuskiej, a dzieci artyści w liczbie pięciorga, tj. trzy córki i dwóch synów poszli śladem przodków

i połączyli się również z osobami pochodzenia francuskiego.

Tak wygląda w świetle historii niemieckość naszego artysty, atoli nie przeszkadza to niemieckim pismaikom nazywać go: „nasz północno-niemiecki sławny artysta”.

Z rodziny Chodowieckiego zyskała córka, zam. Henry, jako malarka, a syn Wilhelm (ur. w Berlinie 1765 r. umarł tamże 1805 r.) jako miniaturzysta pewną sławę, ten ostatni nawet osiągnął w sztuce taką doskonałość, że ojciec nie wahał się podpisywać czyli uznawać za swoje niektórych jego utworów.

Chodowiecki umarł w Berlinie 7 lutego 1801 r., a całe jego życie było pogodnym i pozbawionem większych trosk, cieszył się on bowiem szczęściem rodzinnym, sławą jako artysta i szacunkiem ludzi, wśród których żyć mu wypadło. Zmarł jako dobry Polak i dobry syn Kościoła katolickiego.

SEWERYN Cwikliński.

Mali Polacy w Ameryce

„Nie ucz się, nie ucz, kupimy ci „szyf-kartę“ do starego kraju”.

Jaś nie chce zamiatać chodnika.

„Ach, do starego kraju z tobą, tam dopiero oduczyliby cię leniuchować”.

Mały Tadeusz grymasi, nie chce jeść jakiegóż zupy.

„Poczekaj no, wyślemy cię do babki, do kraju — tam bendzies jodł zimniaki i żur, trzy razy dziennie, żeby ci ino dali. Bendzies „harówka“ w polu, to wszystko bendzie smakowało”.

Nie wiele po za tem słyszy o Polsce ten przeciętny mały Polak na obczyźnie. „Harówka”, a po niej żur nie bardzo się uśmiecha. Rzeczywiście ten stary kraj jest lepszym strachem, niż kominarz, albo cygan z torbą.

Weźmy naszą przeciętną (nie mówię o licznych wyjątkach) Polonję w Ameryce. Przeważnie reprezentuje nas tam nasz polski chłop lub rzemieślnik. Zawsze wyjeżdżał z myślą, że kiedyś powróci. Gdy raz tam się znalazł, życie jego uległo tak szalonym, wprost w smach niewidzianym zmianom, że zamiast wracać, taki emigrant założył sobie rodzinę, zamerykanizował się powierzchownie, przyjął obywatelstwo amerykańskie, o ile był dość sprytny, aby je uzyskać. Nie trzeba było wielu lat, aby nabył tamtejszej powierzchownej kultury. Dzisiaj ten, który opuścił Polskę jeszcze za czasów austriackich lub zaraz po wojnie, jest już dobrym Amerykaninem. Nie znaczy to bynajmniej, by przestał być Polakiem. Można śmiało powiedzieć, że jest dobrym Polakiem nawet pomimo to, że przybranej swej ojczyźnie zawdzięcza wszystko.

Polskość tak samo jak natura odzyskuje się w każdym z nas. Kto się raz Polakiem urodził, ten tylko Polakiem um-

rzeć pragnie. Najprostszy chłop, wychowany pod którymkolwiek z zaborów (żaden Moskal ani Austriak nie wpał w niego przeciw patriotyzmu), wyjechał w daleki świat i... jest dobrym Polakiem. Rząd nie dał mu posady, ani wykształcenia jego dzieciom bezpłatnie, a jednak jest on i będzie Polakiem.

Lojalność tych ludzi w stosunku do Polski nie jest nawet dość doceniana. Tam, na dalekiej obczyźnie postawili polskie kościoły, polskie szkoły, polskie domy. Zorganizowali się, zjednoczyli pod polskim sztandarem. To wszystko doprowadzi nieśmiertelności cudownej idei Ojczyzny. Nawet bez względu na to, co się w niej dzieje, i kto, i jak nią rządzi. Wielu z tych ludzi poza rodzinną wioską nigdzie nie było, nic nie widziało. Gdy przyszła upragniona „szyf-karta”, jechali z radością, a jednak ze łzami.

Dzieci tych Polaków, urodzone na obczyźnie, choć marnie, to przecież mówią po polsku. Chodzą przez jakiś czas do polskiej szkoły, zapisane do Związku Narodowego Polskiego, do Sokoła.

Polacy na obczyźnie spełniają sumienie swój obowiązek względem polskości. Robią to, jak najlepiej umieją. Robią błędy, ale któż ich nie robi? Zresztą skąd oni mogą widzieć swoje błędy? Są one dość małe.

Nie można tej działalności krytykować. Najwyżej można starać się pomóc. Niektóre metody przydałoby się poprawić, aby przyczyniały się lepiej do rozwoju polskich dusz. Wszystko, co robią ci Polacy, jest dobre, ale nie zawsze tak zbliża do Polski, jak powinno, i wszystko za mało.

Weźmy polską szkołę w Ameryce.

Czem różni się ona od publicznej? Tem, że za naukę płaci się. Książki każdy kupuje sam (w publicznej szkole

wszystko, począwszy od ołówka i papieru, dostaje się darmo przez cały czas pobytu), w polskiej szkole uczą religii. Uczą zakonnic, które stosują dyscyplinę fizyczną.

Rano dziecko uczy się po polsku, a po południu po angielsku. Równocześnie jest z polskiego w trzeciej klasie, z angielskiego w siódmej. Nic dziwnego.

Po polsku dziecko mówi w domu — z musu, bo ojciec i matka inaczej nie rozumieją. Angielski jest jego prawdziwym językiem.

Polską książkę czyta również dlatego, że musi, angielską dla przyjemności. Gdy się ten mały Polak nauczy po polsku, to niema nikogo kłoby troszczył się o jego lekturę. Kto kupi mu polską książkę?

Cóż może wiedzieć o literaturze dla młodzieży ten były chłop? Czy ktoś mu dawał książki, gdy był młody? Skąd ma wiedzieć? Dlatego kupuje swemu dziecku to wszystko, co tylko pieniądź kupić może, ale nigdy dobrej polskiej książki (ani angielskiej również).

Jeżeli nauczył się czytać z elementarza, to prenumeruje polski dziennik. — W ten sposób kształci się. Jakiej lektury dostarcza polski dziennik w Ameryce?

Jeden z największych i najlepiej redagowanych, to „Dziennik Związkowy”. Prawda, jest tam raz w tygodniu kącik dla młodzieży. Listy do ciotki Karoli. Jest pozatem kolumna Jantka z Bugaja (dzieje Jaśka Bzdury i Kaśki Myrdelonki) (świetną gwarą pisane, ogromnie bawią starszych, ale dla młodych to jest przecież „harówka” i żur, czarno na białym).

Przypomina to pewną historię, którą opowiadała w towarzystwie Amerykanki, kobieta-sędzia z sądu dla małoletnich delikwentów.

Pewien 15-to letni chłopiec, Polak

(wychowany w polskiej szkole) uciekł ze szkoły i z domu rodzicielskiego. (U młodzieży w Ameryce jest to na porządku dziennym. Jeden chce zostać cowboyem, druga gwiazdą filmową. Zabiera więc portfel ojca i jedzie do Hollywood). Policja „przestępcę“ znajduje i oddaje do sądu dla małoletnich. Ten mały Polak stanął przed sądem, dokąd odesłała go policja (znalazłszy śpiącego w jakimś parku). Gdy stanął przed sędzią, błagał ze łzami w oczach, by zostawiono go w Domu Poprawy, ale nie odsyłano do rodziców, ponieważ ojciec znęca się nad nim.

„W jaki sposób?“ — zapytał sędzia. „Czy ojciec bije cię?“ (W Ameryce nawet rodzice są za to karani).

— „Ach, co mi tam bicie, to jest gorsze, niż dziesięć batów. Ojciec zmuszał mnie codziennie do głośnego czytania polskiego dziennika. Schodzili się sąsiedzi, którzy, jak ojciec, również nie umieli czytać, i słuchali.

Chłopiec uważał to za tragedię, ale co dopiero przeżył ojciec w sądzie, gdzie tak zachowało się jego własne dziecko, które pragnął wychować na Polaka?

Dziecko nie jest tu wiele winne, ono nie jest zdolne do poświęceń. Kocha swobodę, a najbardziej nie lubi — obowiązków. Każdy najchętniej będzie robił to, do czego nie jest zmuszany. Może tedy należałoby zawsze surowo zabraniać tego, czego się od niego pragnie. Dajmy dziecku dwadzieścia centów i powiedzmy mu, żeby szło sobie do kina, ale żeby przypadkiem nie szło do kościoła, bo tam ksiądz będzie opowiadał straszne rzeczy. Może dziecko wtedy najchętniej pójdzie do kościoła.

Weźmy tylko Chicago, gdzie jest kilka polskich parafii i dzielnica, zwana „Little Poland“. Każda z tych parafii wybudowała wspaniały kościół. Przechodzi się koło tego wielkiego kościoła i dumą rozpiera serce. Tu na obcej ziemi stoi polski kościół, a przy nim szkoła. Prawie jakby było się w Polsce — prawie, albo i więcej. Absolutna wolność wychowania i przekonań. Polacy są w przybranej ojczyźnie obywatelami o tych samych prawach, co każdy rodowity Amerykanin.

Czasami przechodząc koło polskiego kościoła, zupełnie mimowoli pomyśli człowiek, dlaczego gdy budowano ten wielki kościół, rozporządzając bardzo dużymi sumami, ktoś nie pomyślał o architekturze. Można było nawet koplować sławne kościoły samej Polski, co jeszcze bardziej zbliżałoby do niej. Dobry gust w budowaniu naszych kościołów i szkół nie byłby zaszkodził, uczyniłby je był ozdobą naszych dzielnic.

Polacy bardzo dbają o te kościoły. Płacą podatki, które nakłada parafia. Każdy parafjanin daje kilkanaście, często nawet kilkadziesiąt dolarów rocznie. — Wystarczy wziąć do ręki jeden z kalendarzy, które co roku wydaje każda polska parafia. Wymienione jest nazwisko każdego parafjanina, a przy nim suma, jaką dał na kościół. Jeżeli nie dał, jest to również uwidocznione, ale takich bywa zaledwie paru, którzy może gdzieś wyjechali i słuch o nich zaginął. Największy skąpiec nie odmówi datku na kościół i na cel polski da zawsze.

W tych parafjalnych kalendarzach (które służą również jako polski przewodnik), obok większości nazwisk (999 na 1000) nie ma mniejszej sumy, niż pięć dolarów, a obok nazwisk właścicieli sklepów i karczem suma roczna przewyższa zwykle dwadzieścia pięć dolarów. Nie wchodzi w to opłaty za ławki, ani ofiary zbierane w różne święta.

Co niedziela każdy przychodzący do kościoła płaci za ławkę na rannej Mszy

po dziesięć centów, a na późniejszej po piętnaście. To jest wstęp. Poza tym osobno jest składka. Co do niej niema już żadnej normy, każdy daje, ile zechce. Ławki w kościele są obliczone na trzy tysiące osób. Odprawia się trzy Msze.

Cóż to ma wspólnego z małym Polakiem? Otóż wielu małych Polaków woli kino od kościoła.

Dziatwa pochodzenia polskiego, wychowana w publicznej szkole na dobrych Amerykanów, nie bardzo chętnie chodzi do polskiego kościoła na długie polskie kazania, którego ze względu na język prawie zupełnie nie rozumie. Zamiast tego woli iść gromadkami do najbliższego parku, gdzie jest ławka bezpłatna, a za piętnaście centów dwie porcje lodów i dobra czekolada, albo zachować tych piętnaście centów na drugorzędne kino.

Czy w tem jest wina pracujących rodziców? Napewno nie. Przeciętny robotnik zostawia to szkole. Najczęściej polskiej szkole (w której polska dziatwa stale tęskni za publiczną, bo ta daje tyle swobody).

Ludzie nie mają odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Prawda przestrasza i bardzo boli. Przeprowadźmy ankietę między małymi Polakami. Pozwólmy im być szczerymi, a przekonamy się o smutnej prawdzie, że gardzą oni starym krajem, i boją się, aby przypadkiem rodzice ich nie zechcieli tam wracać. Ameryka wychowuje te dzieci dla siebie. — Możemy tylko prosić Boga, żeby byli jak najlepszymi Amerykanami. Reprezentacja nasza zyska tylko na tem. Nie zaszkodzi nam ich patriotyzm amerykański, każdy gorliwy Amerykanin polskiego pochodzenia, może być równie dobrym Polakiem.

Obowiązkiem Polski i Polaków jest dać im poznać swą Polskę. Kto sam nie był niegdyś małym, nieświadomym Polakiem na obczyźnie, ten nigdy tego nie zrozumie.

Cóż to znaczy, że chodzi się (z musu) do polskiej szkoły, jeździ się latem na „pikniki“ i wycieczki Z. N. P.? Starsi bawią się sami. Nie zachowują umiarkowania w użyciu mocnych napojów. Nie przebiegają w piosenkach. Amerykanie mówią, że wybierają się często na polski piknik zamiast do cyrku.

Co za okropne pojęcie wyrabia sobie nawet inteligentniejsze dziecko o Polsce! Obserwuje amerykańską polskość i tamtejszych Polaków. Ich własni rodzice są

przykładem. Pozornie cóż można zarzucić Pracują, modlą się, wychowują swoje dzieci, tak, jak najlepiej umieją. Co czasem robią źle, jest robione źle tylko dlatego, że sami nie mając wykształcenia, nie mogą wiedzieć, jaka metoda da najlepsze owoce. W walce o chleb nie myśli się wiele o metodach, jeżeli jest się tym przeciętnym robotnikiem, którego wychowała bieda i wysłał w świat często głód.

Nieraz słyszy się w szkole amerykańskiej, jak młodzież sprzecza się między sobą. Padają przeróżne przezwiska: „You sloppy Polack“, „You dirty Irishman“, albo „You filthy Dago“. (Ty polski mazgaj, Ty brudny Irlandczyk, Ty romańska świni. Dago oznacza amerykańskiego Włocha, Hiszpana lub Portugalczyka).

Ktoś musi o tem pomyśleć. Ktoś musi starać się to pojęcie o Polsce i Polakach naprawić. Polonja robi swoje, ale stary kraj nie bardzo się o to troszczy. Polska ma dość swoich dzieci u siebie w domu, to prawda, ale czy tamte dzieci też nie swoje? Coś się im od Polski należy i Polsce powinno na nich zależeć.

Trzeba coś na to poradzić, a gdzie chęć, tam znajdzie się i sposób. Obecne pokolenie już się starzeje. Nie będzie żyło wiecznie. Imigrację do Stanów mocno ograniczono. Następne zaś pokolenia będą to tylko Polacy z pochodzenia. Coraz mniej będą interesowali się Polską i mniej z każdą generacją będzie im na polskość zależało.

Nie mamy na to funduszy, aby dla propagandy opłacić im podróż przez Atlantyk i pokazać im Polskę. Należy nawet wątpić, czy wielu znalazłoby się ochotników na odwiedzenie starego kraju.

Gdybyśmy nawet za przykładem Z. N. P. każdemu z tych dzieci zrobili na gwiazdkę prezent, to też nic nie znaczyłoby. Prawda, nadchodzą w Ameryce święta. Są zabawy z nimi połączone. Młodzież jest wtedy ciekawa, czyi głos i czyją postać św. Mikołaj w tym roku przybierze, i czy będzie później bardzo pijany. Nie trudno wymyślić prezent na gwiazdkę. Św. Mikołaj przynosi piękne pudełka pomadek, śliczne teczki na książki, „złote“ pióra, piórunki, lalki, zabawki, chusteczki jedwabne. (Wszystko zakupione w sklepach Związkowców).

Nigdy jednak nie wyciąga ze swej torby ładnej, polskiej książki. Bardzo słusznie, bo ta dziatwa nie lubi książek na gwiazdkę (kiedy jest dla niej tyle „le-

pszych“ rzeczy). Powinno się dawać książki jako prezenta w którejkolwiek innej porze roku, a nie na Boże Narodzenie, kiedy dzieci pochłania całkowicie choinka i tysiąc jeden przysmaków świątecznych. Podarek w jednej, oznaczonej przez tradycję porze roku, nie ma nigdy tyle wartości i tyle uroku, ile w porze, kiedy dla dziecka niema innych atrakcji. — Wakacje przynoszą upragnioną swobodę, lepszą od wszelkich prezentów, ale i podczas wakacji są dni, kiedy się dziecko nudzi.

Dziatwie polskie na obczyźnie przydałby się podarek, który pomógłby do zabicia czasu o każdej porze roku. Zależy nam przecież na połączeniu dobrego i pięknego z pożytecznym.

Czy nie możnaby naprzykład dać tej młodzieży czegoś, co by i nam przyniosło pożytek? Moralny oczywiście. Przypuśćmy żeby w porozumieniu z Z. N. P. stworzyć kwartalnik ilustrowany dla młodzieży polskiej w Ameryce. W języku angielskim, dlatego, aby dziecko czytało dla przyjemności. Kwartalnik stanowiłby trwały kontakt z Polską. W Polsce jest tylu świetnych pedagogów i ludzi, którzyby mogli go tu w Polsce opracować, wydawać zaś w Ameryce.

W takim kwartalniku możnaby opowiadać historię Polski, która w formie powiastek nie byłaby wcale nudną. Możnaby pokazywać wszystko, co jest warte pokazania. Nasze stare zabytki, wogóle to, z czego każdy Polak jest dumny.

Gdyby nie można było z jakichkolwiek powodów stworzyć stale wydawanego kwartalnika, to możnaby opracować książkę, rodzaj „Polski w miniatu-rze“. Wydawca nicby nie ryzykował w tym wypadku.

W porozumieniu z Z. N. P. i z całą Polonią amerykańską, któraby sama za to zapłaciła, „Polska w miniatu-rze“ znalazłaby się wtedy i w najbardziej szkodliwym domu. Polskie dziecko brałoby ją z sobą do swej publicznej szkoły, nie jeden mały Amerykanin oglądałby obrazki, barwne ilustracje, nie jeden przeczytałby napisy pod obrazkami.

Nasza propaganda zagranicą ze strony Polski jest marna. Nie daje tyle, ile powinna. Od tego, co dzisiaj zrobimy, zależy nasza jutrzejsza pozycja w świecie. Nie powinniśmy skąpić na te cele.

EMILJA KICMALÓWNA.

Śląska pieśń ludowa

Śląsk ze strony folkloru, prymitywu, oraz krajoznawstwa Beskidu Śląskiego jest bodajże najciekawszym miejscem w Polsce. Tam żyje czar i niewypowiedziane, a raczej nie „stylizowane“ jeszcze piękno, w szlachetnej formie utworu ludowego!

Toteż nie bez zachwytu podziwiamy: „Pieśni ludowe z Polskiego Śląska“, wydanie dwutomowe Akademii Umiejętności w Krakowie (stronie 539, zaś 490 pieśni!), jakie wydano w bieżącym roku. Złożyły się na ten spory zbiór — przemile kolekcje, czy: ks. dr. Emila Szramka z Katowic, czy znów podobne Cinciały (1825—1898, notariusz, działacz społeczny na Śląsku Cieszyńskim, który już 1885 wydał: „Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszy-na“), dalej lekarza — Niemca, Józefa Rogera, który 1880 wyd.: „Pieśni ludowe Śląskie, wyuczyl się języka polskiego, a był naprawdę jednym ze szczerych polonafilów. Nadto szereg innych zbieraczy pomniejszych. Edycję opatrzył wstępem: Dr. Jan Bystron.

Pierwszy tom, obejmujący: „pieśni balladowe“, (str. 97) daje naprawdę oryginalną balladę śląską, podobnie jak i włoska (ballata!) pieśń, jaką śpiewano na Śląsku — przy wtórze tańca, a więc — jak i pierwotnie w ojczyźnie ballady — w Italji „ballatare“ = śpiewać w takt tańca).

Najciekawszą jest wśród tych ballad ballada zbójnicka, w siedmiu redakcjach

(z Rozbarku Kadłubca pod Odmętą. Tytuł jej: „Pieśń o zbójniku i jego żonie“. Żyje w tej pieśni najstarsza tradycja zbójnicka, obfitująca w sceny, już udratyzowane przez zabójstwo, zaś „Krwawa chusteczka“ symbolizuje świetnie zbrodnię („krwawą chusteczkę w ręce przyniosł“ str. 30, T. I.).

Ballady te zawdzięczamy w wielkiej mierze zbieraczowi ks. dr. Szramkowi, zaś p. dr. Bystron dał komentarz, naprawdę ujmujący krytycznie i wyczerpująco balladę śląską, w jej ewolucji, formie i zależności (co subtelnie zbadał Bystron) od ballad innych.

Ale Śląsk, zwłaszcza Cieszyński, ilustrują poezje II-go tomu: „pieśni o załotach i miłości“.

Są tam: „rozmowy miłosne“, dalej zobrazowanie „rozstania“, ślanki: „spotkania“, czy znów idylle, przechodzące w lamentsy uczuć miłosnych: „Zale dziewczyny za kochankiem“, jak znów przeciwnie: „Zale kochanka za dziewczyną“, obok dramatycznych scen: „niewiernego kochanka“, czy: „niewiernej kochanki“. Nawet romantyzm: „Zale nieślubnej matki“, przypomina... utwór dramatyczny, sceniczny z XVII w.: „Marancję“, jaką wydał 1921 Badecki! — „Rozmowy uwiedzionej z kochankiem“, czy „Rozmowy matki z córką“, zamykają te cykle poezji ludowej, miłosnej, zilustrowane naprawdę silną strofą, niemal w każdej pieśni; niektóre w kilku war-

jantach stwierdzają bogactwo i różnorodność, choć temat jeden i ten sam, ale Śląsk — a posiada dla niego: „złote ramy, bogato rzeźbione“ — w każdej okolicy — innej ręki, czy innego autora...

Śląsk rozśpiewany, mało znany dotychczas w Polsce, toteż edycja jakby wypełniała lukę, a jednoczyła Śląsk, boć teraz, mamy w nich dowód jego polskości; wszak te pieśni z archaizmami XVI wieku a i XV to dowody, że żadna siła nie mogła nam Śląska — duchowo oderwać od Polski! — Ten charakter niezwykle głębokiego rysu polskości, ta prze-można wartość śląskiej pieśni, naprawdę każę nam wierzyć, jak i pieśń śląska:

„nie będzie tu innej, jak polskiej ziemi,

choćby ją chciano nazwać inaczej! —

Każdą pieśń poprzedza nuta, czyli, że dzieło może oddać usługę i muzyce; choćom śląskim, czy polskim, słowem stać się naprawdę cenną edycją tej, śląskiej duszy, jaka żyje od wieków w pieśni, jaka tworzy ten „wiczysty“ znak polskiego Śląska, niezatarty, ani też nie spaczony wiekami niewoli. — Naturalnie Śląsk Górny, a stwierdza to wydanie, że „szumia“ pieśnią, jak i borem, łąką i łanem zbóż“, zanim go nie pokryły... komin-y fabrycznej!

A jakież i ten Śląsk Górny, z przeszłości — piękny!...

Michał Asanaka Japoll

Kwestja żydowska w dawnej Polsce

i próby jej rozwiązania

Kwestja żydowska kształtowała się w dawnej Polsce w ciągu wieków rozmaicie, zależnie od roli, jaką odgrywali Żydzi w życiu narodu.

W średniowieczu Polska była rajem dla żydów. Stanowili oni pożądaną element kupiecki, potrzebny dla państwa stawiającego pierwsze kroki na rynku europejskim, nawiązującego pierwsze wymiany handlowe z innymi narodami. W tym czasie Polska wchłonęła znaczne ilości Żydów wypędzanych i prześladowanych w innych krajach. Królowie polscy darzyli ich opieką i przywilejami, a ludność odnosiła się do nich bez nienawiści, co najwyżej z niechęcią z jaką człowiek średniowieczny patrzeć musiał na drugiego wyznającego inną wiarę.

Dobrze się też wtedy Żydom działo. Możliwi dochodzili rychło do bogactwa, stawali się o tegami finansowemi, powierzano im prawo bicia monety, poboru cel itp.

Wkrótce jednak Żydzi rozradzając się z niesłychaną szybkością, zaczęli ciężać na życiu gospodarczym miast, w których się przeważnie osiedlali. Tworzyli niebezpieczną konkurencję rzemieślnikom chrześcijańskim i walcie przyczynili się do tego upadku. W jakim pogrążyły się miasta w XVII i XVIII wieku.

Nie dziwnego, że żywioł żydowski stał się wkrótce przedmiotem ogólnej nienawiści. Miasta zaczęły się bronić, starały się o specjalne przywileje królewskie zakazujące Żydom osiedlania się w danym mieście, lub zakazujące im wykonywania pewnych zawodów. To ostatnia droga w praktyce przynosiła wielkie szkody, gdyż Żydzi wyłączeni od rzemiosła i handlu, uprawiali masowo lichwę, która ubogie mieszczaństwo pogrążała w jeszcze gorszej nędzy.

Gdy wszystkie sposoby walki nie przyniosły pożądanego rezultatu, bądź skutkiem nieprzestrzegania zakazów, — skutkiem braku solidarności, bądź na gruncie ciasnoty umysłowej wieku XVII i początku XVIII, wytworzył się antysemityzm, wyrażający się pogromami, napadami żaków na ghetto, namietniami a niezbyt głębokimi pamfletami itp.

Dopiero w połowie wieku XVIII, gdy w Polsce zaczęły nurtować poważne prądy reformatorskie, zmierzające do naprawy ustroju, — poraz pierwszy zajęto się kwestją żydowską bez żółci i złości, tak jak należy się zająć każdą bolączką zagrażającą normalnemu rozwojowi społeczeństwa.

W czasie trwania sejmu czteroletniego sprawę żydowską poruszył poseł piński Mateusz Butrymowicz, który w roku 1789 wydał broszurę pt. „Sposób uformowania Żydów polskich w pożytecznych krajowi obywateli”.

W broszurze tej głosi autor hasła asymilowania Żydów, przyczem głównej przeszkody w asymilacji dopatruje się nie w różnicy wyznań, lecz w wadliwym ustawodawstwie, które wyodrębnia niepotrzebnie Żydów z ogółu społeczeństwa.

Przeciwnie, zamiast władzy Kahalów (które powinno się znieść) należy Żydów oddać pod władzę magistratów miejskich i zakazać im noszenia odmiennych strojów, używania języka

obcego w księgach kupieckich i korespondencji.

Broszura Butrymowicza wywołała szeroką polemikę, która spowodowała, że Sejm czteroletni również zainteresował się kwestją żydowską, wyznaczając w roku 1780 deputację dla ułożenia projektu reformy stosunków polsko-żydowskich.

Skończyło się jednak na pracach wstępnych, które nigdy nie nabrały praktycznego znaczenia, — jak wiemy bowiem, wszystko co stworzył Sejm czteroletni, albo całkiem w życie nie weszło, albo zniesione zostało pod presją rosyjskich bagnetów.

Później zbudzony z letargu naród, broniący się ostatnim wysiłkiem przed zakusami wroga, nie miał już czasu ani możliwości zajmowania się kwestją żydowską. Dopiero po kongresie wiedeńskim, gdy nadzieje Polaków na odbudowanie niepodległej ojczyzny zostały przez rządy zaborcze przekreślone, kwestja żydowska ponownie wypłynęła na światło dzienne.

Pozostawało to w ścisłym związku z intensywną pracą nad odbudową ekonomiczną kraju, jaką przedsięwzięto w Królestwie Kongresowem w pierwszych latach po nadaniu konstytucji przez Aleksandra I. Wtedy to, przy omawianiu sposobów podźwignięcia kraju z ruiny gospodarczej, niepodobna było pominąć kwestji żydowskiej, nie więc dziwnego, że na ten temat pisano podówczas wiele. „Myśli względem reformy Żydów w Królestwie Polskim” Bronikowskiego, „O reformie ludu Izraela” Wyszyńskiego, „Sposób na Żydów” „Aperçu sur les Juifs”, — oto kilka naprędce przytoczonych głosów tej wiecznie aktualnej dyskusji.

Wszyscy niemal autorzy zaczynają swe wywody od stwierdzenia, że Żydzi są zniechęceni i starają się wyszukać istotne przyczyny tego zjawiska. A jest ich, trzeba przyznać, nie mało. I tak Wyszyński podaje za przyczynę obcość Żydów, stanowią oni odizolowany „naród w narodzie”, obojętny lub co gorsza nieprzychylny wobec reszty obywateli, chciwy i oszukańczy.

U Bronikowskiego czytamy: „Przeżyście wielu małątków dawnych obywateli w ich własność, cyrkulujące kapitały w ich tylko prawie rękach... chęć nie umiarkowana do zysku przez oszukaństwa wywierająca się szczególnie na nasze włości”.

„Naywiększe zło ze strony Żydów jest, iż oddział ludności krajowej nabywającej niszczy, zachęcając go do wsiach do pijaństwa, a zatem wtracając go tak w względzie moralnym jak fizycznym w stan nędzy”.

Panowie zaś niebaczni, że czynią to z własną szkodą Żydom karczmą dzierżawią gdyż;

„Żyd więcej niż inny od aredy zapłacić może, co sobie później odbija na wieśniakach tysiącami sposobami”.

Żydzi są więc przyczyną nędzy w wsiach, bo lud w karczmach rozpija się, oni spowodowali upadek rzemiosł w miastach, przez swą konkurencję, oni są pośrednio przyczyną kradzieży gdyż „łatwy sposób zbywania włóczęgów się żydom czegośkolwiek, z pocziwych służących porobił nieraz złodziejom”, w dzieciach często zawiązał haniebny nałóg zarodek”.

*) W cytatach zachowana oryginalna pisownia.

A wreszcie należy wspomnieć o szkodach, „które skarb z powodu ich zrzeczności w przekradaniu się z towarami przez pogranicze traci” o „poddłym ich najczęściej charakterze” i „chwicie itp.”.

Takiego stanu dłużej naturalnie cierpieć nie można. Konieczna jest reforma, któraby poszła w trzech kierunkach:

1) Uzdrawienie stosunków ekonomicznych;

2) Asymilowanie Żydów przez oświatę i wychowanie;

3) Ścisłą kontrolę administracyjną Żydów zamieszkałych w kraju.

Pierwszy punkt programu da się zrealizować wtedy, gdy zniesiony zostanie zakaz zabraniający ubogiemu szlachetcowi „sposobem przemysłowym ale uczciwym o utrzymanie się starać” gdyż mieszczaństwo jest nieliczne i zgnębione uciskiem, a chłop rozpity i nieporadny.

Żydom należy stanowczo zabronić zajęć wpływających na demoralizację ludności chrześcijańskiej. A więc w pierwszym względzie trzeba bezwzględnie przestrzegać zakaz z roku 1538, mocą którego Żydom zabrania się handlować wódką. Akcję tą musi przeprowadzić się tylko w drodze ustawodawczej, gdyż prywatna inicjatywa rozbija się o brak solidarności ogółu ziemianstwa, wypędzenie Żyda karczmarza w jednej wsi, bogaci karczmarza z sąsiedniej. Zabronić należy Żydom również handlu starzyzną by zapobiec paserstwu.

Aby Żydom umożliwić zajmowanie się uczciwą pracą, trzeba im dać pozwolenie nabywania ziemi i pracowania na roli z tem jednakże, że „w pewnej liczbie włók bez chłopów kupionych powinien Żyd oznaczoną liczbę swego wyznania ludzi osadzać. Inaczej wyrzemy wprawdzie Żydów właścicielami ziemi, ale nową chłostę na najpracowitszych ludzi sprowadzimy”, gdyż

„Żyd ziemi właściciel na którejby chłop pracować musiał nie opuszczałby miasta, trawiłby tam dni w sklepie ćwicząc się nieustannie w różnych oszukaństwach rodzajach i tyleby się tylko poddanymi swoimi przez Żyda ekonomia trudnił ile własny zysk z wyłączeniem wszelkiej ludzkości czynić by mu nakazywał”.

Inni znów autorzy proponują, by Żydami kolonizować pustki w dobrach państwowych (opuszczone role), w każdym jednak razie Żyd na wsi mógłby zajmować się wyłącznie tylko rolnictwem.

Sama jednak reforma stosunków gospodarczych nie da się przeprowadzić bez odpowiedniego przygotowania, które ma dać oświatę. Powinna ona iść w dwu kierunkach: przede wszystkim należy krzewić oświatę wśród ludu, gdyż jej brak ułatwia „niecne Żydów zamiary”, a potem wśród samych Żydów nie wyłączając i kobiet „Zważając jak wielki wpływ sposób myślenia tej płci zawsze w wszystkich Narodach na charakter mężczyzny miał i konieczne mieć musi”.

Dzieci żydowskie od szóstego roku życia powinny uczęszczać do szkół pospolu z dziećmi chrześcijańskimi, a jedynie nauka religii musiałaby odbywać się oddzielnie. Ażeby zachęcić Żydów do kształcenia się, należy dopuścić ich do urzędów, których objęcie uzależnione byłoby od pewnego cen-

zusu wykształcenia. W zamian za to żydzi powinni dostarczać rekruta na równi z resztą ludności, znieść należy nieprawne podatki, które Żydzi płacą jedynie z powodu zachowywania zakazów religijnych (np. specjalny podatek od mięsa koszernego itp.). To równouprawnienie Żydów ma na celu przeprowadzenie procesu asymilacji. Chodzi o to, żeby ten obcy żywioł żydowski przetrworzyć na pożytecznych dla państwa obywateli. Ażeby asymilację przyspieszyć należy z Żydami nawiązywać stosunki towarzyskie: „Przyjazne obchodzenie się z nimi, zachęcanie nawet do uczestnictwa publicznych zabaw” „zupełną Żydów reformę do skutku przywieść może”.

Mimo tych licznych ustępstw należy zachować jednak rozsądny umiar, gdyż „byłoby grzechem nie tylko politycznym, ale i moralnym dopomagać Żydom z własną szkodą”.

Przewidując trudności na jakie asymilacja natrafi ze strony Żydów, wszyscy niemal autorzy proponują środki administracyjne mające na celu osłabienie wewnętrznej spójności Żydostwa. Przede wszystkim należy przeprowadzić dokładną ewidencję Żydów w kraju zamieszkałych; w tym celu jedni proponują dla nich przymus paszportowy (nawet dla dzieci) inni zwyczajne spisy i kontrole za pośrednictwem ewidencji urodzeń, zgonów i ksiąg stanu cywilnego, radykalniejsi wreszcie proponują wyznaczenie pewnych miast (Warszawa, Lublin) gdzie skupiliby się wszyscy Żydzi.

Przy okazji pierwszego spisu ludności ojcowie rodzin przyjmowałiby nazwiska rodowe. Kahaly jako instytucje samorządowe wyodrębniające Żydów od reszty społeczeństwa, należy znieść, a Żydów należy oddać pod zwierzchnictwo burmistrzów (w miastach) lub wójtów. Rabini, wybieralni na lat 6, mieliby do spełnienia wyłącznie funkcje religijne.

Księgi treści religijnej mają być drukowane w języku polskim i hebrajskim a wszystkie księgi handlowe, dokumenty i korespondencje mają być prowadzone wyłącznie w języku polskim.

Jest rzeczą ciekawą, że autorowie dość niechętnie odnoszą się do projektu wysuniętego jeszcze przez Butrymowicza, by Żydom zakazać używania odrębnych ubiorów, przeciwnie uważają, że odrębności stroju lepiej na razie nie znosić, gdyż „dogodniej by im było zachować dawny charakter a kraj zamiast widocznych nieprzyjaciół znosiłby nieszkodliwy na pozór, ale tem niebezpieczniejszy ciężar”.

Gdy teraz zastanowimy się ogólnie nad temi wywodami uderza nas dziwna na pozór rozbieżność: z jednej strony mamy trafnie ujętą rolę, jaką Żydzi w ówczesnych czasach odgrywali, z drugiej zaś niemal naiwna wiara, że przez wychowanie i oświatę będzie można w krótkim czasie zmienić do gruntu duszę Żydostwa.

Optymizm ten, na który patrzymy dziś z uśmiechem pobłażliwości, był wówczas zupełnie zrozumiały. Autorzy wierzyli święcie w modę w wieku oświecenia pogląd, że przez umiejętne wychowanie można człowieka dowolnie modelować i chcieli tą drogą oddziaływać na Żydów. Tymczasem problem okazał się trudniejszym do rozwiązania niżby się to pozornie zdawało. Żydzi wobec których z czasem zastawiano wszystkie powyżej wymienione rady i pomysły, nie tylko nie ulegli asymilacji, ale przeciwnie stali się w społeczeństwie grupą coraz bardziej wyodrębnioną i obcą. R. R.

A. ELSEY

Pogańska świątynia z przed 3000 lat

Londyn, w lipcu.

JAK RUNEŁY MURY JERYCHA

Prace angielskich ekspedycji archeologicznych, prowadzone z wielkim nakładem kosztów i energii na terenie Palestyny, przynoszą raz po raz cenne odkrycia. Wyniki te, należy zestawiać ze Starym Testamentem, do którego są rewelacyjnymi nieraz objaśnieniami i ilustracjami.

VI. rozdział Księgi Jozuego opisuje zdobycie Jerycha, którego mury runęły od krzyku wojowników hebrajskich i od głosu trąb kapłańskich. Badania archeologiczne wykazały, że relacja Pisma św. ani nie jest wymysłem, ani nie przedstawia cudu. Mury Jerycha zbudowane były niedbale i prawie bez fundamentów. Gdy tysiące ludzi ciężko zbrojnych, okrażyło je siedmiokrotnie, gdy wstrząsnał nimi niesłychany zgiełk uczyniony przez obiegających, zwały się z naturalnych przyczyn.

LOSZY ŚWIATYŃ W LACZYSZU

Zwyczajna pieśń Debory i Baraha, wypełniająca rozdział V. Księgi Sędziów (w. 4—6) wspomina o wielkich burzach i ulewach, przy których drżała ziemia a z gór płynęły potoki błota. Nawet góra Synaj „topniała przed Panem”. A było to w dniach Szamgara, syna Anatha.

Ow Szamgar, syn Anatha, był prawdopodobnie jednym z wodzów faraona Ramzesa III. Wywód prof. Garstanga na ten temat brzmi wcale przekonująco. Południowa część Ziemi św. była w owym czasie w ręku pogan palestyńskich, z którymi walczyli Izraelici. Paganie mieli pomoc egipską, lecz z czasem ulegli, a świątynie ich zostały zniszczone ogniem.

Miedzy innymi spotkał ten los świątynię w mieście Laczysz. Lecz płomienie nie strawiły wszystkiego. Zgasił je ów namul, płynący ze stoków górskich Pokrył skazaną na zagładę świątynię i uchronił większą część jej wewnętrznych urządzeń przez spustoszeniem i zrabowaniem.

W roku 1934 Wellcome Archaeological Research Expedition pod kierownictwem znanego kierownika Starkey'a odkopła ów pogański przybytek. Całe jego wewnętrzne urządzenie zapakowano z nadzwyczajną troskliwością przewieziono do Londynu i wystawiono obecnie na widok publiczny na Hindlestreet K. Manchestersquare, przeznaczając dochód ze wstępów na fundusz badań archeologicznych w Palestynie.

OLTARZ I NACZYNIA OFIARNE

Prymitywny ołtarz ma po prawej stronie trzy stopnie, po których wchodził kapłan. Obok nich stoi zwięzające się ku dołowi naczynie, do którego wlewano płynne ofiary. Jest z wypalanej gliny, podobnie jak kadzielnica. Tuż przy tych naczyniach widzimy terrakotową wannę, w której kapłani odprawiali ablucje, zanim wstąpili na stopnie.

Poza ołtarzem jest podwyższenie. Leży na niem znaczna ilość lamp, mis i kubków. Dalej, w zagłębieniu w murze, leżą kamienne skarabeusze, na których odcyfrowano napisy, głoszące chwałę myśliwską faraona Amenhotepa III. (1413—1377 przed Chr.), zabójcy 102 lwów.

Szereg przedmiotów, misternie rzeźbionych z kości słoniowej, wykazuje inną, wyższą kulturę. Archeologowie przypuszczają, że były one do Egiptu i do Palestyny importowane z północy, prawdopodobnie z Syrii lub z Fenicji.

Najcenniejszą pod względem naukowym rzeczą, znalezioną w świątyni w Laczysz, jest duży terrakotowy puchar wysokości 18 cali (45 cm), gdyż część jego górna pokryta jest czerwonymi literami, a pismo zasługuje na szczególną uwagę.

PRZECZYNEK DO DZIEJÓW PISMA

Jest dziś rzeczą ogólnie uznaną, że alfabet, których dziś używają narody europejskie, a więc przedewszystkiem alfabet łaciński, pochodzi od pisma fe-

nickiego. Naturalnie zaszła tu ewolucja, obejmująca długi szereg systemów graficznych.

W roku 1905 Sir Flinders Petrie odkrył w świątyni w Kadim na półwyspie Synaj tajemnicze pismo, którego związek z innymi trudno było ustalić. Czerwone litery, zdobiące szyję pucharu z Laczysz łączą je wyraźnie z alfabetem fenickim. Zaginione ogniwo łańcucha zostało odkryte.

Gdy operuje się wiekami, dokładność datowania wypadków i zjawisk, nie jest możliwa. W każdym razie odkrycie Starkey'a wpłynęło poważnie na chronologię. Udowodnił on, że puchar pochodzi z czasu między r. 1295 a 1262 prz. Chr. Tymczasem ogół epigrafików ozna-

czał datę powstania napisu na grobie Ahirama z Gebal w Fenicji mniej więcej na rok 900 prz. Chr. Jedynie francuski uczony Dussaud umieszczał ten najstarszy zabytek pisma fenickiego o jakich 350 lat głębiej w przeszłości. Puchar gliniany z Laczysz przyznaje mu słusność.

NAJSTARSZE PISMO ŚWIATA

Owo pismo, odkryte w roku 1905 na półwyspie Synajskim, uchodzi za najstarszy alfabet świata. Niemieccy archeologowie wystąpili z hipotezą, że może twórcą jego był, a w każdym razie używał go Mojżesz, od którego miała pochodzić inskrypcja w świątyni Serabit w Kadim.

W roku 1916 Anglik Alan Gardiner sprzeciwił się tym przypuszczeniom. Odczytał mianowicie jeden z wyrazów inskrypcji synajskiej jako „Balaat”, imię własne, spokrewnione z fenickim Baalem. Mojżesz nie wyrzeźbiłby nigdy na głazie tego pogańskiego wyrazu. Stwierdzono później, że wyraz rzeczywiście należy czytać „Baalat”. Atoli z wykopalisk jerychońskich wiemy dziś, że Mojżesz był w ciągu XV. w. na półwyspie Synaj i że łączyły po pewne stosunki z Midjanitami. Jest więc rzeczą prawie pewną, że znał ten alfabet — podobnie, jak egipskie pismo hieratyczne (hieroglify) i demotyczne (ludowe).

Wydać się również prawdopodobnym, że Izraelici wprowadzili do ziemi Kanaan owo pismo synajskie w okresie jej podboju, współczesnego panowaniu Amenhotepa III., którego skarabeusze należą do skarbów świątyni w Laczysz.

T. W. T.

Podziemne kwiaty i owoce

Sądziłoby można, że kwiat, ten prawdziwy — jak powiada Maeterlinck — „uśmiech materii”, nie może żadną miarą istnieć w mroku, pod ziemią. Wydaje się to sprzecznym z jego naturą. Przyroda nie znosi jednak żadnej szabloności i często — jakby z przekorą realizuje to, co, pozornie przynajmniej, zdawałoby się, nie jest do urzeczywistnienia. Jednym z takich jej „kaprysów” są podziemne kwiaty i owoce.

Osobliwa ta biologiczna właściwość występuje u roślin z różnych grup systematycznych i bywa rozmaicie silnie zaakcentowana. Typ najskrajniejszy reprezentują niektóre gatunki afrykańskiego rodzaju *Stylochiton*, należące do grupy tzw. obrazkowatych np. *Stylochiton lancifolius*. Nieduża ta, bo zaledwie kilkanaście cm. wysokości, czarna roślina, żyjąca w stepowych obszarach Sudanu, w okresie kwitnienia niemal w całości ukryta jest w ziemi. Nad powierzchnią gruntu wystaje tylko koniec liścia otaczającego kwiatostan. Wąskim wylotem wpada światło, — ta sama droga dostają się do kwiatów, zwabione ich zapachem owady. Roślina położeniem swym przypomina więźnia, który za jakieś ciężkie przewinienie, dostał się do lochu.

Znacznie mniej „tragicznie” przedstawia się los innych roślin o kwiatach podziemnych. Mogą one dowoli cieszyć się słońcem, a obok kwiatów podziemnych wytwarzają także kwiaty nad-

ziemne.

Należą tu niektóre śródziemnomorskie wyki i groszki oraz parę innych, również obcych naszej florz roślin.

Kwiaty podziemne wszystkich tych roślin nie oglądają zupełnie światła słonecznego. Powstają one na cienkich, białych pedach podziemnych, są nikłe, bez płatków i nie otwierają się wogóle. Jest rzeczą ciekawą, że u niektórych z tych roślin pędy podziemne po wydobyciu ich na światło wykształcają normalne kwiaty nadziemne. Naodwrot też, przysypanie ziemią pedów zielonych „skłania” je do rezygnacji z kwiatów nadziemnych na rzecz drobnych, podziemnych.

Nieotwierający się kwiaty wytwarza także nasz szczawik (*Oxalis acetosella*), zwany popularnie „zajączą kapustą”. Nie chowa ich jednak pod ziemią, ale „zaśwala się” wtuleniem w mech i liście. Dojrzwiałe owoce zostają podniesione do góry.

Jeżeli chodzi o podziemne owoce, to, jak łatwo się domyśleć, powstawać one będą u roślin, mających kwiaty podziemne. Nie jest to jednak warunek bezwzględny. Znany bowiem wiele roślin, u których owoce takie powstają z kwiatów typowo nadziemnych. Jedną z nich jest hodowany często w donicach cyklamen (*Cyclamen europeum*), zwany niewłaściwie fiołkiem alpejskim. Po przekwitnięciu rośliny, łodyżka, na której kwiat był osadzony, skręca się spiralnie i wciska zawiązu-

jący się owoc w ziemię. Tam on dojrzeje, poczem z wiosną, przez skurczenie się tejże samej szypułki, wydostaje się na zewnątrz.

Podobne wciskanie występuje u amerykańskiego orzecha ziemnego (*Arachis hypogea*), dostarczającego, sprzedawanych u nas w ziemi na ulicach, „orzyszów palonych”. Roślina ta przypominająca wyglądem groch (tylko bez wąsów (uprawiana jest szeroko w krajach tropikalnych (Brazylja, Indie, Afryka), a także w południowej Europie. Nasiona jej, mieszczące się po dwa w krótkich strąkach, dostają się na skutek rozrostu osadki kwiatowej również do ziemi (na głęb. 5—8 cm), gdzie dojrzwiają. Są bardzo bogate w substancje odżywcze (30 proc. białka, do 50 cje odżywcze (30 proc. białka, do 50 olej).

Podobnie jak orzech ziemny postępuje ze swymi owocami wiele innych gatunków z grupy strączkowych. W naszej florz zachowuje się podobnie linia bluszczowata (*Linaria cymbalaria*), roślina, co prawda, południowo-europejska, ale żyjąca w stanie dziczy i u nas. Jako roślina czepna, podobnie jak bluszcz (który też wyglądem przypomina), wspina się po skałach i murach, wciska swe owoce nie do ziemi, ale do szczelin.

Podziemne kwiaty i owoce nazwalimy na wstępie kaprysem natury. Określenia tego nie należy brać zupełnie dosłownie; istnienie ich w wielu wypadkach przynosi roślinie wyraźną korzyść. Odnosi się to przedewszystkiem do gatunków o kwiatkach podziemnych: nadziemnych i podziemnych.

Aby roślina mogła wydać nasiona, kwiat musi ulec zapyleń. Czynność tę większość roślin „powierzyła” owadom. Może się jednak zdarzyć, że z jakichś przyczyn (np. deszczów, chłódów) owady nie przyjdą. Aby i w takim wypadku móc wydać potomstwo, wytwarza roślina kwiaty podziemne, które zapyłają się same. Wytwarzanie podziemnych kwiatów stanowiłoby więc w świetle tych faktów asekurację na wypadek, gdyby zawiodły kwiaty nadziemne.

Co się tyczy owego afrykańskiego obrazkowca, to tutaj pożyteczność nie jest tak widoczna. Schowanie się rośliny do ziemi stanowi, być może, pewną ochronę przed silną insolacją i połączone z nią utratą wody.

Wciskanie rozwijających się owoców do ziemi może mieć dwójakie znaczenie: z jednej strony izolację młodych nasion od szkodliwych wpływów zewnętrznych (np. zimna, suszy), a z drugiej zabezpieczenie im przyszłości. Roślina macierzysta osadza swe potomstwo sama w ziemi, nie pozostawiając go na niepewne losy. Linia i orzech ziemny stanowiłyby w takiej interpretacji przykład daleko posuniętej miłości rodzicielskiej u roślin. „Troskliwość” ta ma jednak i strony ujemne; polega za sobą zbytne zagęszczenie się młodego pokolenia i brak miejsca. Ewentualna korzyść nie jest zatem bez „ale”.

M. K.

Castelgandolfo

Od roku wybiera się Ojciec św. na odpoczynek do Castelgandolfo nad jeziorem Albańskim. Poczyniono na miejscu wszelkie przygotowania, wyrestaurowano zamek i wzniesiono nawet przybudówki, ale dostojnemu gościowi nie śpieszy się i odkłada on wyjazd z miesiąca na miesiąc.

Być może, iż odgrywa tu rolę melancholijna atmosfera Castelgandolfo. Cały szereg papieży unikał go, a Pius XI mawiał zawsze, że wybiera się tam rozmyślać nad śmiercią, gdyż uważa miejsce za najodpowiedniejsze.

Pius XI bywa czasem w Castelgandolfo dla obejrzenia stanu robót i sprawozdania, czy gospodarstwo dobrze funkcjonuje. Ma tam nowoczesną wzorową farmę, w której krowy doje przy pomocy elektryczności, a każda z kur ma swój własny miniaturowy domek do schowania jaj. Nigdy jednak w ciągu ostatnich dwóch lat Ojciec św. nie zdecydował się na dłuższy pobyt.

Wycieczki do Castelgandolfo odbywał zazwyczaj autem, ubrany w czarna sutannę alpakową i ludność najczęściej nie domyślała się nawet, kim jest ów skromnie wyglądający wyższy duchowny. Wozowi jego towarzyszyły jeszcze dwa inne.

Nie tak to było za czasów istnienia Państwa Kościelnego. Z rezydencji papieskiej do Castelgandolfo nie było daleko (mniej więcej 26½ km.), ale przy podróży pilnie przestrzegano ceremonij-

tu i orszak bywał bardzo liczny. Papież siadał do wspaniałej karety, którą otaczało dwunastu gwardzistów szwajcarskich w swych wspaniałych uniformach. Za nim jechały dwie inne karoce, wiozące dostojników kościelnych, potem oddział gwardji szlacheckiej, a za nimi dopiero reszta pojazdów z dworem.

W ciągu podróży zatrzymywano się dwukrotnie, ażeby odebrać od miejscowej szlachty hołd i podarki. Były to produkty wiejskie — masło, wino, szynki, szparagi owce i ryby złowione w jeziorze. W jednym z opisów znajdujemy interesujący szczegół, że każdy z kardynałów, towarzyszących głowie Kościoła, otrzymywał od okolicznych pań po 50 funtów konfitur. To znów zachodziły drogie oiszakowi tłumy wieśniaków. Składali oni petycje najczęściej uskarżając się na ucisk ze strony szlachty. Papież dostrzegając przyczyniając się do nich. Szło zazwyczaj o prawo zbierania kłosów po żniwie na łanach pszenicznych lub o ściółkę i chróst po lasach.

Z poprzedników Piusa XI najlepiej lubił Castelgandolfo Benedykt XIV, który chętnie tam mieszkał i przyjmował nawet oficjalnie dyplomatów.

Zamek — który raczej należałoby może nazwać willą — stał pustką przez czas dobrowolnego więzienia papieża w Watykanie. Odnany im na podstawie paktu laterańskiego w r. 1929, przeszedł gruntowne odnowienie. Należy do niego również sąsiednia willa Barberini.

Życiodajne słońce!

Uczniowie czytelniczki, zmienione dzięki palącemu działaniu słońca lub pędru w czekoladowe boginie, we wszystkich odcieniach brązu, ostrzegam was z góry, że czytając niniejszy feljeton, możecie rozczarowania. Bowiem nie znajdziecie w nim rady, jak należy racjonalnie się palić, lub naukowo poparzyć tego dowodu, że koniecznym jest dla was wyjazd nad morze itp., a zgoda co innego. Wam zaś reprezentanci brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego nie dam powodu do narzekań. Jak gromem, ośskam pytaniem: Czy zastanawialiście się kiedyś, co by się stało, gdyby słońce ostygło? Napewno nie. Zagadnienie to interesowało i nadal interesuje astronomów — ludzi nauki, całą duszą oddanych badaniu wszechświata, w najszerzym tego słowa pojęciu.

Uczni ci nie mają innego zmartwienia, jak obliczać, ile jest gwiazd na wschodniej czy południowej półkuli nieba, kiedy słońce zgaśnie, lub zdery się z innym ciałem niebieskim, łapać za ogon komety i nurzać się w bezmiarze krociowych liczb. Nie jest to broń Boże złośliwość z mej strony, ani branie ra kiel astronomii, przed którą, sam, jako przyrodnik, chył się czoło, ale takie sobie lekkie traktowanie tematu naukowego, by zbytnio nie przemęczać czytelników w okresie kanikuly.

Zanim zaczniemy zastanawiać się nad wyżej przytoczonym pytaniem, musimy wprawy poznać słońce jako takie. Z niewrotnych liczb, jakimi z konieczności będę operował, proszę się nie przerażać — zresztą nie będę się używać ich jak najmniej.

Słońce — to jądro ogniste naszego systemu planetarnego, dzięki któremu (słońcu oczywiście) rozwija się życie na ziemi, posiada średnicę 108 i pół razy większą od średnicy ziemskiej. Objętość słońca jest 1.280.000 razy większą od objętości ziemi, zaś masa słońca jest 324 tysięcy razy cięższą od masy ziemskiej. Wyrażając się astronomicznie, ciężar masy słońca wynosi 1.879 oktylionów kg. (przedstawiając cyfrowo, liczba ta wygląda: 1879 plus dwadzieścia siedem zer).

Średnia odległość słońca od ziemi, przyjęta przez Konferencję Paryską w 1911 r., wynosi 149 milionów 450 tysięcy km. Gdybyśmy chcieli np. polecieć na słońce samolotem, którego przeciętna szybkość wynosiłaby 120 kg. na godzinę, to musielibyśmy zużyć 150 lat czasu. Temperatura słońca na powierzchni wynosi około 6 tysięcy stopni bezwzględnie, t. zn. jest wyższa dwa razy niż temperatura najgorętszych części łuku elektrycznego, wewnętrzna zaś temp. słońca, wedle obliczeń Emdena, Eddingtona i in. wynosi od 30 do 60 milionów stopni. Tak olbrzymia temperatura, przekraczająca wszelkie ludzkie doświadczenia, nie pozwala nawet w przybliżeniu wyobrazić się rozumem.

Sila światła słonecznego, wyrażona w świecach, równa się sile 3.23.10²⁷ potęgi świecy. Jest to tak olbrzymia liczba, że nie sposób jej tu przedstawić. Słońce świeci światłem żółtym. (Gwiazdy dzielimy ze względu na blask, jaki wysyłają w przestrzeń, na gwiazdy białe, żółte i czerwone. Szczegółowe różnice występują w badaniach spektroskopowych. Gwiazdy białe zawierają przeważnie wodór lub hel, z którym występuje też tlen. Nie zawierają zaś, lub zawierają w małej ilości metale, występujące natomiast w widmie gwiazd żółtych. Gwiazdy czerwone zawierają związki chemiczne.)

Żółty blask słońca tłumaczy się tem, że gwiazda ta do pewnego stopnia już ostygła. W chwili, gdy blask słońca przybierze barwę czerwoną, wówczas promieniowanie jego wyniesie zaledwie jedną siódma ciepła, jakie obecnie wysyła, co równać się będzie zagładzie życia na ziemi. Kiedy to przypuszczalnie nastąpi, o tem poniżej.

Badania nad słońcem, zaprzęgały umysły ludzkie od czasów najdawniejszych i już Galileusz, Scheiner i Fabri-

cius, odkryli plamy na słońcu. Plamy te są to ciemne utwory na powierzchni słońca, mające niejednokrotnie średnicę dochodzącą do kilkuset tysięcy km. Są one widoczne w dwu pasach i posuwają się ze wschodu na zachód, w ciągu 13—14 dni. Nieraz ukazują się po dłuższych 13—14 dniach są więc unoszone przez ruch słońca dookoła swej osi, w przeciągu ok. 27 dni.

Dookoła plam słonecznych znachodzą się części jaśniejsze, od otoczenia, t. zw. pochodnie. Fotografie słońca, wskazują na jego budowę, która przedstawia się pozornie ziarnista. Nad promieniami na ziemi chmurami słonecznymi, leżą wromne masy gazów, w których występuje w znacznej ilości hel, wodór, żelazo, magnez, wapń i sód. Hel i wodór występują w najwewnętrzniejszych warstwach atmosfery słonecznej, w t. zw. chromosferze, grubości od 7 do 9 tysięcy km.

Ponad chromosferą wznoszą się ogniste języki i promienie, które gdy sięgają ponad 15 tysięcy km., zwiemy protuberancjami. Ilość oraz wysokość protuberancji, wzrasta z liczbą plam słonecznych. Protuberancje dzielmy na metaliczne i spokojne. Pierwsze zawierają wielką ilość par metalicznych, są w bardzo silnym ruchu, (który dochodzi do kilkuset km. na sekundę) i występują najwyraźniej w pasach plam słonecznych oddalonych od równika słonecznego o 20°. Drugie — protuberancje spokojne, składają się wyłącznie z wodoru i helu i występują na całej powierzchni słońca, posuwając się ruchem powolnym. Przepływają one na wysokości około 50 tysięcy km. od powierzchni słońca, co tłumaczy się odpychaniem promieni słonecznych — czyli ciśnieniem światła.

Protuberancje spokojne porównać możemy do chmur, a zwłaszcza obłoków. Zdarza się, że masa protuberancji opada na powierzchnię słońca, w rodzaju ognistego deszczu. Wyżej wspomniane pochodnie słoneczne wykazują zawartości helu i sodu. Pochodnie te dobiegają niejednokrotnie fotosfery słonecznej i są widoczne jako jej wyniosłości.

W czasie zaćmienia słońca, pośród oparów — daje się zaobserwować t. zw. korona, złożona z promiennych części. Rozciągłość „korony“ słonecznej, niejednokrotnie przewyższa długość kilku średnic słońca, poza jego tarczą. Bada-

nia widmowe korony słonecznej, wykazały obecność wodoru i bliżej nieznanego gazu, który nazwano „coronium“.

Poznawszy — bardzo pobieżnie zresztą — budowę słońca, oraz zachodzące na niem zjawiska, przystępujemy do rozwiązania zagadki; kiedy słońce zagaśnie i co wtedy stanie się z naszą planetą? Słońce promieniuje, czyli wysyła stale w przestrzeń energię świetlną-ciepłą. Wiemy, że energia ta, nie jest obecnie tak silna, jaką musiała być setki milionów lat temu, w każdym razie jest jeszcze bardzo duża.

Mimowoli nasuwa się pytanie, skąd słońce czerpie tak wielką ilość energii? gdzie są jej zapasy? Promieniowanie słońca, powoduje utratę energii, a z zasady zachowania energii wiemy, że nie powstaje ona z niczego, że musi być jakieś jej źródło.

Robert Mayer, orzeka w swej hipotezie co do źródła energii, że słońce czerpie energię wysyłaną w przestrzeń, z nieustannego spadania na nie gwiazd i innych ciał podobnych. Hipoteza Mayera upada jednak z powodu prostego rachunku, z którego wynika, że spadająca na słońce masa ciał niebieskich, równająca się masie ziemi, starczyłaby zaledwie na pokrycie promieniowania słonecznego, w ciągu niespełna 100 lat, zaś ciągłe takie bombardowanie słońca, po okresie 30 milionów lat, podwoiłoby jego masę, co jest oczywiście niemożliwe, biorąc pod uwagę bardzo krótki na stosunki wszechświata okres 30 milionów lat.

Również i t. zw. „teoria kontrakcyjna“ Helmholtza, orzekająca, że wskutek kurczenia się masy słońca, wyzwala się energia promieniowania nie rozwiązuje zagadnienia, ponieważ obliczenia lorda Kelvina wykazały, że skurczenie się słońca do stanu obecnego, mogło wytworzyć energię promieniowania, wystarczającą na 50 milionów lat. Fakty z geologii, wskazują nam jednak, że promieniowanie słońca odbywa się w okresie znacznie dłuższym, aniżeli 50 milionów lat.

By wyjść z labiryntu mylnych hipotez, musimy podjąć do zagadnienia z innej strony. Wiemy, że promieniowanie niesie za sobą masę, czyli, że ciało promieniuje, ciągle ją traci. Wedle najnowszych obliczeń, każdy „centymetr kwadratowy słońca, przedstawia silę światła o mocy 8 koni, co równa się

stracie masy około jednej płatej grama z jednego centymetra kwadratowego na sto lat. Ta nieznaczna utrata masy, z jednego cm², w przeciągu wieku, musi być pomnożona przez całkowitą ilość centymetrów kwadratowych, zawartą na powierzchni słońca — i wynosi miliony ton masy na sekundę.

Na dbę traci więc słońce „tylko“ 35 milionów ton, rocznie zaś 131 bilionów ton. Wziąć musimy jednak pod uwagę fakt, który, jak wykazały badania, orzeka, że strata tak olbrzymiej masy, jakkolwiek istnieje, to jednak odbywa się z prędkością stale malejącą. Zmniejszanie się tej straty masy, jest niewidoczne i odbywa się bardzo powoli. Gdybyśmy jednak nawet przyjęli, że słońce stale traci 131 bilionów ton masy rocznie, to do stracenia ostatniego grama swej mocy, potrzebowałoby jeszcze 15 bilionów lat, czasokresu o porównaniu ludzkim bardzo długiego, w którym ziemia czerpałaby energię słoneczną jeszcze przez jakieś setki miliardów lat.

Dokładne opisywanie tego zagadnienia, oraz porównywanie go ze stosunkami na innych gwiazdach, zajęłoby nam wiele czasu, a poza tem nie nadaje się do rozważań w czasie... słonecznego gorąca. W zupełności zadowolimy się faktem stwierdzającym, że słońce długo, bardzo długo będzie wysyłało energię promieniotwórczą, którą czerpie, jak wykazał sir James Jeans, ze swego wnętrza gazowego, a które składa się ze zbiorowiska atomów odartych z powłoki elektrycznej aż do warstwy K, poruszających się swobodnie i niezależnie od siebie.

Pozostałyby do omówienia inne groźne dla naszej planety i dla życia wogóle zagadnienia. Jak: główny ciąg gwiazd w wszechświecie i możliwość zniknięcia się naszego systemu planetarnego z innym systemem planetarnym, dalej — ewentualność ustania ruchu ziemi dookoła własnej osi, zwiększenie, względnie zmniejszenie się odległości ziemi od słońca i t. p. Wszystkie jednak te zagadnienia mieszczą się w ramach bilionów, oktylionów i innych „onów“ lat, tak, że niewarto nimi zaprzątać sobie głowy.

Z przestrzeni międzyplanetarnych, a powodzi miliardowych liczb, ciągnących się na kilometry, zejdźmy na ziemię. Troskę o przyszłe losy naszej planety pozostawmy astronomom, sami zaś czerpmy „pełnymi garściami“ życiodajną silę słońca, która pozostanie jeszcze dla milionów pokoleń przyszłych.

Tadeusz Kwaśniewski

Dziecko w Japonii

Dzień 5 maja jest w Japonii wielkim, najmiłszym może świętem: świętem dzieci. A właściwie świętem dzieci tylko płci męskiej, tej największej dumy i nadziei każdej rodziny.

Boć przecież ci chłopcy, gdy dorosną, będą mieli święty obowiązek kontynuowania kultu przodków, — i to nie tylko przodków rodzinnych, ale i przodków dynastji. Bo w ich rękach leży przyszłość i potęga całego narodu!

Toteż w każdym domu ustawia się mały ołtarzyk, przystrojony chorągiewkami i kwiatami irysu, którego długie, wąskie, a ostre liście we formie lancy symbolizująją męstwo i odwagę. A przed niskimi domkami na przedmieściach, na wysokich żerdziach, chwiała się w wietrze sporządzone z papieru i pomalowane jaskrawymi farbami, olbrzymie karpie. Jest ich tyle, ile dzieci płci męskiej liczy dana rodzina.

Karp, walczący z prądem wody, umiający przemykać się zrecznie wśród czających nań sieci, jest symbolem inteligencji, sprytu i energii. A może i przypominać ma młodemu obywatelowi państwa Wschodzącego Słońcu, że „milczenie jest złotem“?...

Chociaż coprawda — o nie dorosły

Japończyk jest skryty i małomówny (zwłaszcza w stosunkach z cudzoziemcami), o tyle jako małe dziecko nie zna żadnych ograniczeń, żadnych zakazów czy przymusów, mogących hamować jego elokwencję.

Rodzice słuchają z niepojętą cierpliwością szczebiotania swego dziecka, odpowiadają chętnie na każde, najbardziej nawet naiwne, pytanie, wyjaśniają, tłumaczą, traktując dziecko za najmilszego towarzysza i przyjaciela. Starsze rodzeństwo bez wahania spełnia wszelkie życzenia i kaprysy małego despoty, okazując mu na każdym kroku niesłychaną troskliwość, ustepliwość i miłość.

To uprzywilejowanie stanowiska dziecka obserwuje się wszędzie: w parkach i ogrodach publicznych osobne duże place zarezerwowane są dla zabaw dziecięcych. Huśtawki, karuzele, łódki, stoją im bezpłatnie do dyspozycji. Dla najmłodszych zaś — góry czystego, białego piasku, w którym bawić się mogą dowolnie.

Nierzadko też można spotkać w parkach, nawet stolicy, młodzieńców, uczniów wyższych zakładów naukowych lub szkół wojskowych, którzy prowadzą za rękę lub obwożą we wózku swych maleńkich braciszków, opiekując się nimi troskliwie.

Do siódmego roku życia dziecko jest „oczkiem w głowie“ całej rodziny. Obsypuje się je prezentami, zabawkami, spełnia się wszystkie jego żądania. Jakże rozkosznie wygląda taki malec, odziany w malowniczy strój narodowy, w powiewną sukienkę z szerokimi rękawami, przypominającą różnobarwnego motyla!

Niestety, strój ten stopniowo coraz bardziej zanika, ustępując miejsca ubiorom fabrycznym, skrojonym na modłę europejską. Tańsze to, wygodniejsze, bardziej praktyczne, ale odbiera dużo uroku tym dzieciakom, uwydatniając każdy defekt ciała, nie grzeszącego klasyczną harmonią linii.

Warto zobaczyć rodzinę japońską, wybierającą się w święto na przechadzkę. Na czele kroczy ojciec, za nim, po starszeństwie, synowie. Za nimi dopiero matka z córkami, w ustalonym od wieków porządku. Cała rodzina — to miniatura całego społeczeństwa japońskiego, symbol jego potęgi, opartej na niewzruszalności i świętości życia rodzinnego, na przywiązaniu do tradycji, głębokiej religijności i patriotyzmie.

Wszystkie te cnoty i zalety wpaja się od najmłodszych lat w duszę dziecka.

(r.)

„Rosja wczoraj - dziś - jutro“

Z powodzi książek o Rosji i rewolucji rosyjskiej, które nie przestają zalewać po dziś dzień naszego rynku wydawniczego, można wprawdzie wyłowić perłę prawdziwą znajomości przedmiotu, umiejętności patrzenia i zdolności do myślenia, myśli głębokiej i talentu pisarskiego, — dotyczy to jednak przeważnie jakichś dzieł specjalnych, że się tak wyrażymy — monograficznych, poświęconych jakiemuś jednemu zagadnieniu, związanemu z Rosją, jej życiem i historią jej rewolucji.

Prawie wszystkie natomiast książki, mające pretensje do ogólnej syntezy, do reprezentowania całokształtu zagadnień, z Rosją i rewolucją rosyjską związanych, mające — jednym słowem — zawierać całość wiedzy o Rosji, — w przeważającej części chybią celu, racząc albo pływaczem sądów i powierzchownością spostrzeżeń, kryjącą się za szumnym frazesem, albo jawną lub źle ukrywaną stronniczością, świadomie gloryfikującą jedną stronę medalu, a zamykającą oczy na drugą, — przyczem w sensie czysto literackim, z rzadkimi wyjątkami, mają charakter szybko i łatwo robionej, produkowanej, nie tworzonej, a nawet nie wypracowanej — tandety.

Do tych wspomnianych rzadkich wyjątków zaliczyć należy książkę, zasługującą na uwagę nie tylko ze względu na swe niewatpliwe walory pisarskie, ale przede wszystkim dlatego, że dając próbę syntezy i to syntezy, opartej na przesłankach często zupełnie nowych i będących niespodzianką w polskiej literaturze o Rosji... przesłankach oryginalnych, nieraz za oryginalnych i może ryzykownych nawet — ma ta książka charakter dzieła poważnego, rozporządzającego ogromnym, a nie podlegającym zakwestjonowaniu materiałem i znajomością przedmiotu — że się tak wyrażymy — „od wewnątrz“.

Książka ta jest „Rosja wczoraj, dziś i jutro“ Hieronima Poleskiego (str. 373, Lwów, Biblioteka Religijna 1927), rzecz — jak widzimy — wydana już dawno, rzecz zrozumiała — pod wielu względami już przestarzała, posiadająca jednak cały szereg cennych momentów, aktualnych dziś, jak i przed siedmiu laty, — momentów, nigdy nie wietrzejących. „Rosja wczoraj, dziś i jutro“; jak widzieć z tytułu, ma ambicję do ogarnięcia całokształtu zagadnień, związanych z Rosją, i do stworzenia syntezy.

Poniżej zobaczymy, czy i o ile ambicje te zostały urzeczywistnione, narazie powiemy tylko, że i p. Poleski nie ustrzegł się niebezpieczeństw, jakie czyhają na wartość kompozycyjną każdego dzieła syntetycznego, poruszającego tematy aktualne, równowaga bowiem elementów jego pracy, być może idealna przy powstawaniu pomysłu, w realizacji jest wybitnie zachwiana: „Rosja wczoraj“ i „Rosja jutro“ to tylko wstęp i zakończenie bardzo obszernego omawiania „dziś“, przyczem „dziś“ to jest niemal dosłowne: im bliżej podchodzi autor do czasów ostatnich, do roku 1927-go — tem staje się rozlewniejszy, bardziej szczegółowy, niemal gadatliwy. Tak np. niezwykle doniosłe, najważniejsze wypadki rewolucji z lat 1917 — 18 są porobionym szkicem, krótką informacją niemal, w porównaniu z obszerną relacją tego, co się działo w Rosji, w latach 1922 — 23 i następnych. Wytlumaczyć te usterki łatwo: te najcenniejsze właśnie „kolubryny“ w książce drukowane były uprzednio, jako aktualne artykuły, w prasie („Gazeta Warszawska“ i inne); p. Poleski pisał je nie jako syntetyzujący autor książki, ale jako

publicysta, uwypuklający to, co w danej chwili jest najaktualniejsze — stąd nierównomierność między poszczególnymi elementami całości.

Nierównomierność ta jest nie tylko czasowa, ale i geograficzna, przestrzenna: wypadkom w Azerbejdżanie i wogóle na Kaukazie poświęcił autor — jak na dzieło syntetyczne — stanowczo niewspółmiernie dużo uwagi w porównaniu naprzykład z innymi terenami walk rewolucyjnych i wojny domowej: z frontem północnym Judienicza, z białym kontrterrorem na południu, przede wszystkim zaś z całą tak doniosłą akcją Kołczaka na Syberji, a nawet z epizodem wranglowskim.

Widocznie, autor sam obecny był lub bardzo bliski temu, co się działo na Kaukazie: prawdopodobnie w Azerbejdżanie w czasie rewolucji się znajdował — stąd to zachwianie równowagi między poszczególnymi elementami, tak znamienne i tak zrozumiałe u wszystkich syntetyków — świadków naocznych.

Tyle o kompozycji. Teraz przejdźmy do treści.

Z góry trzeba zaznaczyć, że autor Rosję, a w szczególności Rosjan zna nie tylko dobrze, ale gruntownie i wszechstronnie, — co więcej, czuje do psychiki rosyjskiej nieklamana sympatię, co przebija z każdego niemal słowa, poświęconego temu zagadnieniu, choć i stara się zachować całkowity obiektywizm i nie szczędzi pesymistycznych wniosków odnośnie twórczych i konstruktywnych możliwości duszy narodu rosyjskiego.

Raczej jednak cały szkic „O duszy rosyjskiej“ — poza szeregiem cennych informacji, podanych obiektywnie — stanowi apologię, próbę wytłumaczenia Zachodowi, czemu są i skąd się wzięły te odrażające, azjatyckie, barbarzyńskie, rozkładowe elementy, które doprowadziły do tego, co w Rosji się stało w latach 1917 — 1922, a które taką pogardę, a nieraz i odrazę budzą w społeczeństwach i u ludzi, których określamy jako „typowych Europejczyków“.

Otóż według p. Poleskiego niema mowy o jakimś rozkładzie rosyjskiej indywidualnej i narodowej organizacji psychicznej, — niema rozkładu, bo nie miało co się rozkładać, bo nigdy nie było żadnej organizacji. Tu tkwi najważniejszy i najciekawszy punkt wyjścia autora „Rosji wczoraj — dziś = jutro“.

Twierdzi on, że szczepy mieszanego pochodzenia słowiańsko — fińskiego organicznie nie są zdolne do jakiegokolwiek działalności zorganizowanej, czy zewnętrznej, czy wewnętrznej; nie były w stanie więc wytworzyć ani organizacji państwowej, ani podjąć jakiejś zorganizowanej akcji w zakresie postępu i doskonalenia psychicznego, społecznego, politycznego i t. d.

Z tego by należało wyciągnąć wniosek, że naród rosyjski, jako taki, nie jest zdolny do żadnej twórczości, a więc i do tworzenia dzieł. I rzeczywiście, p. Poleski traktuje dzieje Rosji, jako historię ujarzmiania masy i psychiki rosyjskiej przez czynniki obce, — ujarzmiania, które w każdym wypadku było dla Rosji, jej dziejów i kultury dobrodziejstwem.

Stąd czerpie swe źródło teoria warezizmu, oryginalna i bardzo ciekawa koncepcja p. Poleskiego, nie zbyt co prawda przekonująca chwilami i ryzykowna, nie mniej jednak czyniąca zaszczyt autorowi jego zdolnością do samodzielnego historycznego myślenia. Termin warezizm pochodzi od warezów, tych północnych, normadzkich wikingów, którzy w w. IX albo podbili Rosję, albo — jak głosi starodawna tradycja — zostali zaproszeni przez ludność, mówiącą: „Ziemia nasza bogata i obfita, ale niema kto by rządził nami. Przyjdźcie i rządzcie“.

P. Poleski, jak wszyscy zresztą historycy ostatnich czasów, przyjmuje teorię najazdu, tradycja jednak przywołania Warezów ma dla niego ważne znaczenie, jako manifestacja zrozumienia przez naród rosyjski swojej kompletnej niezdolności do jakiegokolwiek organizacji — organizacji ustroju, życia, psychiki, historii. Najazd Warezów uczynił Ruś silnym państwem, zrobił z niej organizację — i odtąd aż do ostatnich czasów dzieje Rosji i wszystko, cokolwiek stworzy, jest dziełem Warezów, raz poraz zmieniających swą nazwę i oblicze narodowe, — ale zawsze w stopniu jednakowym ujarzmiających Rosję z jej własną korzyścią. Warezami tymi byli i Mongołowie, mogli nimi się stać na pocz. XVIII stulecia Polacy, potem byli Niemcy...

Nie wiem, czy Rosjanom przypadłaby do gustu ta teoria i czy wytrzymałaby ona krytykę w świetle poważnej nauki (a choćby i tradycji historycznej), — w każdym razie pomyślana jest oryginalnie.

ginalnie, choć oryginalność ta sięga za daleko i dochodzi do wniosków, bardzo się kłócących z powszechnie przyjętymi poglądami na historię Rosji: tak np. według p. Poleskiego, Mikołaj I. był ostatnim monarchą którego twarde „niemieckie“ rządy były dobrodziejstwem do Rosji...

Otóż ciągle zawichrzania, bunt, przewroty, akcja wywrotowa drugiej połowy ubiegłego wieku i wreszcie straszliwa rewolucja 1917 roku i jej skutki — w świetle teorii „waregizmu“ nie są niczem innym, jak odwieczną walką dążącą do bezwładu i kompletnej dezorganizacji psychiki narodu rosyjskiego z warezizmem, który narzuca tej psychice dyscyplinę i zmusza ją do działalności, do wysiłku. Plastycznie przedstawia się to następująco: naród rosyjski to zdrowe, silne, potężne ciało, nie posiadające kręgosłupa — na nogach utrzymuje je zewnętrzny, mocny pancerz, który nie pozwala ciału upaść, gdy jednak ciało siłą swego ciężaru i bezwładu runie, roztrzaska i unicestwi pancerz...

I w przyszłości widzi p. Poleski zbawienie Rosji w nowej ekspansji warezizmu: pragnąłby, by warezami (już nie w sensie polityczno organizacyjnym, ale kulturalnym, ekonomicznym), byli Polacy...

Teoria, jak już się powiedziało, oryginalna, logicznie i inteligentnie skonstruowana, ale ryzykowna — najprawdopodobniej nie na tyle mocna, by się oprzeć, gdyby przypuszczono do niej atak fachowej historii, uzbrojonej w źródła i metody, lub kanonadę historyczno-ficzną.

Niezależnie od koncepcji warezizmu, stanowiącej trzon dzieła p. Poleskiego, książka posiada moc niezwykle wartościowego materiału, cały szereg bardzo trafnych sądów i spostrzeżeń, inteligentnie i jasno tłumaczących zjawiska psychiki czy kultury rosyjskiej niezrozumiałe dla „człowieka Zachodu“ albo mało czy wcale nieznane fakty z epoki rewolucji: tak np. bardzo ciekawe i słuszne są uwagi o istocie nihilizmu rosyjskiego, o zasadniczej różnicy między socjalizmem zachodnio-europejskim, a rosyjskim: między materialistyczną socjalną demokracją a rosyjskim inteligentkim, mitycznym „es-eryzmem“ wraz z jego „sowietyzmem“, przyczem zwycięstwo swe zawdzięcza bolszewizm nie tyle swej doktrynie, ile kompromisowi z programem es-erowskim.

Na wyróżnienie zasługuje bystra a bezstronna charakterystyka Cerkwi Prawosławnej i jej stosunku do caratu, emigracji rosyjskiej i jej skotnienia, wreszcie zupełnie nieznane niemal wiadomości o kontrbolszewskiej akcji ze strony najbardziej rewolucyjnie usposobionej marynarki wojennej w Kronstadtzie w roku 1921.

Wypada wreszcie wspomnieć o trafnym umiejscowieniu psychiki rosyjskiej między „europeizmem“ a „rosyjskością“ i o portretach działaczy bolszewickich w szczególności Lenina.

Nienawidzący bolszewizmu, uważający jego panowanie w Rosji za władztwo Antychrysta — autoh umie być imponująco obiektywnym: jego sylwetki czołowych działaczy bolszewizmu świadczą o olbrzymim i dodatnie skutki za sobą (w sensie literackim) pociągającym wysiłku w kierunku zachowania zupełnej bezstronności, czego jakoś nigdy nie można powiedzieć o naszych autorach — sympatykach bolszewizmu, gdy piszą o jego przeciwnikach.

(kr.)

(p. t.)

Izobary i millibary

Kto interesuje się bliżej meteorologią i studjuje mapki, codziennie zamieszczane w licznych pismach, a podające stan ciśnienia atmosferycznego w poszczególnych krajach Europy, ten zauważył niewatpliwie, że od paru miesięcy w znakowaniu tych mapek zaszły pewne zmiany.

Idzie mianowicie o tzw. „izobary“, oznaczające strefy o jednakim ciśnieniu atmosferycznym, którego wysokość określana bywa obecnie w cyfrach znacznie wyższych, niż to dawniej było praktykowane.

Gdy bowiem poprzednio ciśnienie to wyrażało się cyframi od 720 do 790 mm., to obecnie odnośne cyfry przekraczają 1000.

Zmiana ta stoi w związku ze zmianą jednostki miary, którą poprzednio była wysokość słupka rtęci, odpowiadająca ciśnieniu powietrza, a wyrażona w milimetrach.

Obecnie natomiast za jednostkę mierzenia przyjęto został „millibar“, przy czem jeden millibar odpowiada ciśnieniu

powietrza na 1 centymetr kwadratowy, obliczonemu w gramach. Że zaś ciężar gatunkowy rtęci wynosi 13.6, zatem słupek rtęci o wysokości np. 760 milimetrów, a o przekroju 1 ctm. kwadratowego ważyć będzie $76 \times 13.6 = 1033$ milibarów.

W przeliczeniu tedy na millibary odpowiadają:

721 mm. rtęci	—	980 millibarom
728 „ „	—	990 „
735 „ „	—	1000 „
743 „ „	—	1010 „ itd.

Zmianę tę przeprowadzono z dwóch względów: przede wszystkim szło o wprowadzenie i na tem polu tzw. „absolutnego systemu miar“, wedle którego wszystkie miary opierają się na trzech zasadniczych miernikach: grama, sekundy i centymetru.

Pozatem nowy system ma i tę jeszcze zaletę, że jego jednostki są stosunkowo mniejsze, niż to było przy poprzednim systemie, dzięki czemu można przeprowadzić bardziej dokładne różniczkowanie izobarów.

